

Domek

Pamiętam, jak w pierwszej klasie nasza szkoła w Podleśnej przeszła gruntowny remont. Wszystko stało się takie... nowoczesne, kolorowe, interaktywne. Kiedy zbliżała się przerwa, na rozsuwanych szklanych drzwiach od klasy wyświetlał się hologram z wizerunkiem Pani dyrektor, która spokojnym głosem mówiła: "Drodzy uczniowie, zbliża się przerwa, odpocznijcie".

Po tych słowach zwykle salę lekcyjną wypełniał łagodny, z założenia relaksujący dźwięk wodospadu i śpiewających ptaków. Na szerokim korytarzu rozłożone były pufy, w zakamarkach szkoły zorganizowane ciche pokoje nauki, a nawet dwa pokoje do wypoczynku. Sufit w głównym holu był całkowicie przeszklony, wypełniony wodą, w której pływały rozmaite gatunki kolorowych rybek. Gdybyście tylko mogli zobaczyć te klasy - to dopiero gratka! Każdy uczeń miał swój boks, odpowiednio wyciszony, z dostosowanym do swojego wzrostu i rozmiaru biurkiem, z dużą ilością miejsca na nogi, wygodnym oparciem i oświetleniem, przy którym wzrok spokojnie pracował. Nauczyciele prowadzili zajęcia w taki sposób, że każdy z uczniów mógł pracować we własnym tempie. Słuchaliśmy ich przez nasze komputery. Lekcja na bieżąco się nagrywała i każdy, kto potrzebował, mógł cofnąć się do takiego momentu, do jakiego potrzebował. Czas pracy był elastyczny, a poprzez zastosowany system osoby, które wcześniej poradziły sobie z matematyką, mogły przejść do lekcji polskiego czy przyrody. Opowiadania podczas zajęć z języka polskiego były mówione, nie zapisywane czy czytane. Treść tworzyliśmy na bieżąco, a sztuczna inteligencja, która w zasadzie zarządzała całą pracą szkoły, wykorzystując nasze słowa tworzyła obrazkowe opowieści. Każdy z uczniów, który akurat podłączony był do tej lekcji, mógł zobaczyć te ilustracje, a w zasadzie tę bajkę, ten pełen obraz myśli.

Lekcje przyrody były równie fascynujące. Wszystko to, o czym mogliśmy usłyszeć podczas zajęć, na bieżąco pojawiała się na naszych biurkach. Glony, kamienie, kwiaty, a nawet zjawiska atmosferyczne. Kiedy rozmawialiśmy o stanach skupienia cieczy, spod biurka wysuwała się szufladka, a w niej znajdował się lód, śnieg, grad, a nawet woda czy mgła. Kiedyś, gdy Pani Kraska opowiadała nam o zwierzętach domowych, między naszymi nogami pojawił się kot. Prawdziwy kot! Bursztynowy, pasiasty cwaniaczek. Chyba prawdziwy... Nie zdążyłam go dotknąć.

Oho! A wychowanie fizyczne? Każdy, bez względu na stopień sprawności fizycznej mógł bezpiecznie ćwiczyć w swoim boksie. Mieliśmy interaktywne gry podłączone

małymi elektrodami do naszego stroju sportowego. Można było jeździć w klasie na nartach, na rowerze, a nawet skakać o tyczce.

Kiedy zbliżała się pora obiadowa, każdy z uczniów dostawał elektroniczne powiadomienie o aktualnym menu. Każdego dnia było coś innego. A to owocowy sok w niedużej kapsułce, ale za to naprawdę pełnowartościowy, bogaty w witaminy i minerały, do tego wegański placek z sezonowych warzyw i zupa krem, a wszystko, co użyte było do sporządzenia tych dań pochodziło z naszych ekologicznych inkubatorów.

Kiedy kończyły się zajęcia, przeszkłonym korytarzem uczniowie w porządku alfabetycznym, każdy według odpowiedniego podziału, przemieszczali się w stronę głównego wyjścia. Trasy przejścia uczniów podzielone były alfabetycznie według nazwisk, ale też w zależności od miejsca zamieszkania. Autobus szkolny podjeżdżał pod samo wyjście ze szkoły. Wyglądało to niesamowicie, kiedy z autobusu, niczym na lotnisku, wysuwał się rękaw, który automatycznie podpinał się do drzwi szkoły, a przez niego przechodzili uczniowie i siadali na wyznaczone im wcześniej miejsca.

Myślałam wtedy, że nie ma piękniejszego, bezpieczniejszego i lepszego miejsca niż nasza nowa szkoła. Każdy jest tam równy, wszystko jest do nas dostosowane, o nic nie trzeba się martwić i w dodatku możemy doświadczać wszystkiego tego, czego być może nigdy byśmy nie doświadczyli będąc gdzieś indziej. Byłam jeszcze bardzo mała, a zdążyłam odwiedzić Japonię, Włochy czy Madagaskar. Poznałam Picassa! Osobiście. A wiedzę na temat Układu Słonecznego przekazał mi sam Mikołaj Kopernik.

Czasami tylko przypominał mi się czas sprzed remontu szkoły. Wyglądała wówczas zupełnie inaczej. Był to stary ceglany budynek, na dachu w słońcu lśniła purpurowa dachówka, lekko porośnięta mchem. Dwuskrzydłowe, ogromne drewniane drzwi stanowiły główne wejście. Były zielone, jak korony drzew w szkolnym sadzie. Sad został wycięty, zrobili tam interaktywną siłownię dla personelu. Szkoła otoczona była drewnianym płotem. Mama mówiła, że kiedy ona się tu uczyła, szkoła wyglądała zupełnie tak samo. Chyba dlatego postanowiono ją odremontować. A raczej zbudować od nowa. Po wejściu do budynku, z prawej strony była sala gimnastyczna. Pełno w niej było piłek, materacy, szarf i innych niezbędnych wówczas przyrządów. Na lewo od sali gimnastycznej znajdowały się dwie klasy, a w nich na drewnianej podłodze ławki, ustawione jedna za drugą, a naprzeciwko biurko nauczyciela i tablica na kredę. Wszędzie białe ślady od gąbki. Z okien klasy uczniowie mieli widok na łąkę i ogrodzone pastuchami pola tamtejszych gospodarzy. Z czasem i to się zmieniło. Teraz, choć nie ma w naszych klasach okien, to widok i tak byłby już zupełnie inny. Zamiast pól i gospodarstw znajdują się tam wielkie hale produkcyjne i

asfaltowe drogi. Co jeszcze jest inaczej? Kiedyś, choć to może teraz trudne do wyobrażenia, ludzie spędzali ze sobą czas. Nie wysłuchując wypowiedzi innych siedząc w swoich boksach, a widząc się twarzą w twarz. Dyskutowali, widzieli się, mogli poczuć swój zapach, a nawet się dotknąć. Teraz dotyk to największe wyzwanie. Niedługo skończę liceum, przeniosę się na studia do innego miasta. Nie wiem jak sobie z tym poradzę. Muszę upewnić się, że moja uczelnia będzie choć trochę zbliżona strukturą do dotychczasowej szkoły.

Tyle o szkole... A teraz opowiem wam, co spotkało mnie w ostatni weekend. Nie umiałam poradzić sobie z nadchodzącymi zmianami. Szukanie uczelni podobnej do mojej szkoły stało się obsesją, utrapieniem. Znalazłam! Dwie. Obie były bardzo, ale to bardzo daleko od domu. Inne uczelnie przypominały bardziej moją szkołę, ale tę sprzed remontu. Mama nie mogła już patrzeć jak zamykam się w sobie, zadręczam tym niemożliwym do podjęcia wyborem. Postanowiła wyrwać mnie na trochę z domu. Nie chciałam. Wicie, te wszystkie naturalne bodźce. Poza tym denerwuje mnie, kiedy muszę na coś czekać, kiedy nie mogę doświadczyć natychmiast wszystkiego, o czym tylko pomyślę. I stresuje mnie, że w naturalnej przestrzeni nie mogę wszystkiego przewidzieć, nie mam wpływu na pogodę, czy chociażby na to, kogo napotkam.

Uparła się. Wszystko bolało mnie, swędziało i piekło z tego napięcia. Kiedy już przebrnęłyśmy przez najruchliwszą część naszej miejscowości, tuż za szkołą i halami produkcyjnymi skręciłyśmy w jedyną polną drogę, jaka ostała się w promieniu czterdziestu kilometrów. Pozostałe to już jedynie asfalt. Przedarłyśmy się przez mały, dziki sad i weszłyśmy w gęsty leśny zagajnik. Na dębie, który rósł w środku lasu, znajdował się domek. Na pierwszy rzut oka można by stwierdzić, że to nie domek, a jakaś po nim pozostałość. Jednak im bliżej domku podchodziłyśmy, tym wyraźniej widziałam jego konstrukcję. Podobno władze szkoły walczą z sołtysem o zlikwidowanie tego domku albo chociaż utrudnienie dostępu do niego. Mama kiwnęła do mnie głową i wskazała wzrokiem w kierunku drabinki, po której można było się do niego dostać. - Włóż! - krzyknęła i uśmiechając się, próbowała zachęcić mnie do swojej propozycji. Wleźć? Po drabinie? Łapiąc się drewnianych szczebli, ocierając o drzewo i bujając jak małpa na lianie? Co to to nie. Zarzuciłam jej wtedy, że proponuje mi coś niebezpiecznego i że gdyby dowiedzieli się o tym w szkole, gotowi odebrać jej prawa rodzicielskie. Chociaż... ja już jestem za stara, żeby mogli to zrobić... - No włóż! - krzyknęła, tym razem stanowczo, ale w jej głosie było coś, co mówiło mi, że to moja ostatnia szansa. Weszłam.

Kiedy już wdrapałam się do środka, zobaczyłam coś niesamowitego. Zza okien drewnianego domku widać było drugą stronę naszej okolicy. Zielone pola, lasy iglaste i

ogromne sady. Przez drzwi domku docierał śpiew skowronka, a po jednej z gałęzi przemknęła wiewiórka, ruda jak kot z lekcji przyrody. Pod jedną ze ścian ułożone były pufy, wielkie i wygodne, dalej kanapa i dwa fotele. - Spójrz - powiedziała mama, wskazując dłonią na jedną ze ścian domku. Cała ściana usłana była fotografiami. - Co to za ludzie? - zapytałam zupełnie skonsternowana. - Mamo, co to za miejsce? I wtedy kazała mi usiąść na kremowej puszystej kanapie stojącej w rogu. - Wiesz... - zaczęła mówić, nieznacznie spuszczać wzrok. - To miejsce ratujące ludzkie dusze. Ludzie przychodzą tu, by ze sobą naprawdę porozmawiać, poczuć swoją obecność, móc się sobie poprzyglądać, przytulić się i nawiązać relacje. Tutaj czują się bezpiecznie. Nie rozmawiają ze sobą przez hologramy, nie spędzają czasu "razem, ale osobno" grając w wirtualną siatkówkę, nie oglądają filmów dostosowanych treścią do odbiorcy. Po prostu są i uczą się od siebie.

Miałam ochotę stamtąd uciec. Czułam, że to dla mnie za dużo. Nikt nie spędzał ze mną czasu w ten sposób od lat. I wtedy mama złapała mnie za dłoń i przyciągnęła do siebie. Wcisnęła mnie w siebie tak mocno, miałam wrażenie, że za chwilę staniemy się na powrót jednym ciałem. Łzy same płynęły mi z oczu. Ciało jakby całkowicie straciło napięcie. I w jednej chwili poczułam spokój. Szumiący zza okna las, śpiewające ptaki i wszechobecna natura po raz kolejny przypomniawszy o sobie, dały nam najważniejszą lekcję. Jedynie poprzez prawdę, piękno i dobro możemy żyć w pełni. Wśród ludzi i natury nauczymy się najwięcej i najwięcej osiągniemy. Technologia ma nas wspierać, a nie wyręczać, wycławieć.

Poszłam na studia. Na zajęcia chodzę przez park. Z auli, w której najczęściej mam zajęcia, widać małe jezioro, w którym pływają kaczki. Zamieszkałam z kilkoma kolegami ze studiów. Wspólnie spędzamy czas, rozmawiamy, słuchamy muzyki, wychodzimy. Dbamy o to, co i kto nas otacza. Wspólnie.

Tego nauczyła mnie szkoła przyszłości - Natura.

Anita Osowska